

Wychodzą we *Wtorek, Czwartek i Sobotę*. We Lwowie prenumerata roczna 6 Złr. półr. 3 Złr. kwartal. 1 Złr. 30 kr. miesięczna 40 kr. m. k. W kraju z przesyłką pocztową rocznie 8 Złr. — półrocznie 4 Złr. — kwartalnie 2 Złr. m. k. Ryciny miod kwartal. 1 Zł. 20kr.

NOWINY

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza piśmem petyt w przedziałce za jednorazowe umieszczenie po 3 kr. za następ. po 1 1/4 kr. i z dopłatą 10 kr. stępl. za każdorazowe umieszczenie. Biuro ekspedycji w księ garni H. W. Kallenbacha

JAK SIĘ U NAS ŻENIĄ.

Obrazek spółczesny.

IV.

W SALONIE.

(Ciąg dalszy.)

Ludzie złośliwi, których pełno jest na świecie, utrzymują, że to nie wielka rzecz, a nawet słyszałem od jednego z tych zawziętych salonowych potwarców, że worek z szalu tyftkowego napełniony dukatami, mógłby odegrać z honorem rolę wielkoświatową, ja zaś z oburzeniem odrzucam taką potwarz, i śmiało powiadam wszem w obec i każdemu z osobną, że jest to specjalny talent, rodzaj jenuzdu arcyzadkiego, który wyłącznie bierze się w puściźnie. Są zapewne imitacje, ale też te zostaną na zawsze niedołącznemi tylko imitacjami.

Nie przeczę wszakże, że pani Kopycińskiej pomogły nie mało dwie wiosek podolskich i kapitały mężowskie. Pomogło jej także zapewne i to, że za kilkadziesiąt ryńskich zakupiła rozmaitych strojów u najpierwszych i najslawniejszych modniarek lwowskich, które posiadają szczególny talent roztrąbiania po mieście sławy damy, mającej zwiększyć liczbę dam wielkoświatowych. Przyłożył się także trochę do tego wytworny powóz wiedeński, na leżących resorach, sutą liberja, i para ślicznych szpaków z poodcinanemi ogonami.

Dosyć że pani Kopycińska była damą, panią salonową w całym tego słowa znaczeniu, a jej salon choć nie wielki, nabierał w stolicy znaczenia i wziętości coraz większej.

I w tym salonie widzimy już pana Felixa, w którego całej powierzchowności wymuskanej, od niechcenia wymuszonej, dmuchającej, plującej w sufit, a ustrojonej po żurnalowemu ani poznać wielbiciela jakiegś tam drelcharki, konsyliarżówny lub kramarki.

„Poznać pana po cholewach” — mówiono dawniej; pana Felixa jako pana poznać można było od razu po mi nie gęstej, skrzywionej, bo ze szkiełkiem w jednym oku, i po fantazyi pewnej siebie, a dla drugich płazów, gdzieś tam czołgających się, pełnej pogardy. Ktoby go nie poznał jako takiego od razu, nie musiał by być naturalistą, z których każdy od Bufona zaczawszy umie rozróżnić lwa od osła.

A więc wchodzimy do salonu pani Kopycińskiej i właśnie zastajemy ją sam na sam z panem Felixem, najdroższym jej serca bratyszkiem.

Pani siostra jako dama prawdziwie salonowa, siedziała na kanapie w stroju rannym, niby niedbałym, ale starannym i wykwintnym, a pan brat chodził po salonie od zwierciadła do zwierciadła, admirując nie tyle arcydzieło boga w sobie, ile arcydzieło pierwszego stolicy fryzjera. Od czasu do czasu puszczał wonne dymki z cwancygirowego cygara. *Puszczanie dymków* należy bowiem tak dalece do dobrego tonu, że prym w tym dobrym tonie ci trzymają, którzy umieją puszczać dymy bez cygara nawet.

— Mon frere! bądź spokojny, mówiła siostra.

— Mais ma soeur! moje doświadczenie...

— Nic nie znaczy, boś takowe mon cher nabrał w niższych warstwach społeczeństwa. Będiesz miał żonę, je t'assure.

— Żonę?... c'est peu dire!

— Naturalnie z posagiem; dodała siostra z uśmiechem pełnym dowcipu.

— Z posagiem?... c'est ne pas encore tout!

— Z posagiem grubym — poprawiła siostra.

— Lecz to się przeciąga!

— Nie bądź niecierpliwy, dotychczas musiałam ciębie nieco impatronizować w towarzystwo wyższe i lepsze... a teraz kiedy już wszyscy z niego przyzwyczaili się do ciebie...

— Spodziewam się que je suis a la hauteur!

— Jesteś! jesteś mon frere! A zatem posłuchaj: pani Rembina, którą poznałeś, i która w naszym kółku jest jedną z pierwszych matador, chwaliła mi bardzo ciebie.

— Spodziewam się, nie mało mnie to kosztuje trudu, i...

— Elle n'est pa si mal encore... Owóż jutro będzie wieczorek mały u niej, umyślnie dla ciebie sporządzony. Poznasz na nim wszystkie nasze herytiery. Będzie to przegląd, który umyślnie przysposabia dla ciebie pocziwa Rembina.

Kto to była pani Rembina? rzecz to nie tak łatwa do odpowiedzi kategorycznej. Pani Rembina była, jak sama twierdziła, żoną pana Remby, który był bogatym obywatel na Litwie i Żmudzi. Pana Remby nikt nigdy nie

widział, ale za to pani Rembina porządny prowadziła dom w stolicy od lat kilkunastu i tak umiała się wsrubować do wyższego towarzystwa, że się w końcu do najwyższych jego wydrapała szczebli. Nie jest to z resztą tak wielka sztuka, jak się zdaje, w naszej stolicy, gdzie ze składu rzeczy samego salonowe towarzystwo musi być pstrokatę.

Jednem słowem pani Rembina była już na tem stanowisku, że jej słowo przeważne miało w salonach znaczenie. Najwięcej, jak się zdaje, przykładano się do tego, że w najwyższym stopniu posiadała sztukę ekwilibrystyczną, która w salonie jest konieczną. Umiała ona zachować tę nieodzowną równowagę między dumą a grzecznością, zalotnością a powabnością, jawnem i tajnem życiem, która stanowi: *non plus ultra* sztuki salonowej. Salon jej stał się pomału salonem neutralnym, do którego chętnie schodziły się obozy najprzeciwniejsze, zachowując między sobą chwilowe zawieszenie broni, choć nie wymówione jasno. W jej salonie schodziły się wszystkie stany o tyle o ile do wyższej należeć mogli hierarchii towarzyskiej. W jej salonie zdybać można było i wojskowych i cywilnych i dawnych Wolterzystów i nowych przyjaciół Lojoli, a dla wszystkich zarówno grzeczna, nikomu wyłącznej nie dająca preferencji.

Wprawdzie kronika skandaliczna — która nigdy nie milczy, i najświętsze jak i najwznioślejsze oplwa rzeczy i osoby, ta kronika mówić mruzczała coś o jakimś starym jenerale, który miał niby należeć do serca i budżetu pani Rembiny. Lecz ponieważ nikt nie widział własnemi oczyma, a nareszcie ta wiadomość chodziła po świecie od lat już wielu, przyzwyczajono się nie myśleć nawet o tej rzeczy, jako o rzeczy albo nie prawdziwej, albo jeśli prawdziwa, to uświęconej powagą czasu.

Pani Rembina, jako przewodnicząca salonowi swemu, nie odznaczała się szczególnym talentem w rozmowie, bo nawet więcej lubiła szeptać niżeli mówić, ale wielkim obdarzona sprytem, któremu szła w pomoc ciekawość niepołamowana, posiadała w wielkim stopniu sztukę wysłuchania wszelkich salonowych tajemnic i korzystania z onych. To korzystanie wszakże było arcychwalebne i nie miało nic w sobie złego. Przeciwnie ona używała tych rozległych wiadomości swoich dla solidarnego dobra salonów. Musiała wiedzieć koniecznie, gdzie się co dzieje, jakie zachodzą stosunki, jakie miłosne afekta, jakie kłótnie, lub jakie projekta związków prawych czy nieprawych. A jak się tylko dowiedziała, musiała oczywiście wmieszać się do tego, i swoje jak to powiadają, trzy grosze wściubić.

Wszakże na jej wielką pochwałę powiedzieć można, że nigdy nie nie zepsuła, przeciwnie przykładła się o ile siły starczyły do szczęśliwego rozwiązania dobrowolnie przedsięwziętej pracy. Z czasem nabrała w tej mierze wielkiego doświadczenia i *taktu*, który w salonach odgrywa

wielką rolę, tak, że go nieraz stawiają wyżej rzetelnych zasług i zdolności. Z czasem też wszyscy przyzwyczaili się tak do tego, i uwierzyli w konieczność i nieomyślność pani Rembiny, że nawet nikomu na myśl nie przyszło, aby można jakąkolwiek sprawę domową załatwić, lub jakie zawikłanie rodzinne rozwiązać bez niej.

Czy kto się miał kochać, czy żenić, chrzczyć czy umierać, klócić czy godzić, obmawiać czy być obmówionym, zawsze i wszędzie powtarzano tę konieczną zwrotkę:

— Trzeba udać się do naszej *poczciwej i kochanej* Rembiny.

I pocziwa i kochana Rembina przybywała zaraz i jej głowa, jakby apteczka na moralne szwanki, pełna była rozmaitych, a zawsze w sedno trafiających konceptów.

Oczwście wdzięczność powszechna była na wysokości jej zasług, a chociaż ofiarowała je zawsze z *dobrego serca*, niemogła także odmawiać pocziwym przyjaciółom i przyjaciółkom, jeżeli ją nawet kosztownymi obdarzono prezentami. Weszło to nawet tak dalece w zwyczaj, że jej salon, sypialnia, i wszystkie mnogie biórka i szafki sownicie ustrojone były zbiorem pamiątek przyjacielskich, których nietylko że się przez fałszywy wstyd nie zapierała, ale przeciwnie ze łzami rozczulenia pokazywała je nowym do salonu swego przybyłym, i o każdym przedmiocie umiała rozpowiadać wszystkie dzieje doń przyłączone, z których występowały jasno jak na dłoni, jej ogromne w życiu salonowem zasługi.

Jednem słowem pani Rembina stała się *potęgą salonową*, której nie można było ignorować, i z którą należało się koniecznie umieć obejść i porachować. Nic więc naturalniejszego, że pani Kopycińska chcąc ożenić brata dobrze, udała się do pani Rembiny, i że ta Rembina podjęła się ważne dzieło do pożądanego przyprowadzić końca. Wszystko więc zdawało się naszemu Felixowi pięknie rokować nadzieje, a przecież pan Felix skrzywił się nieco na wspomnienie Rembiny. Skrzywienie to jakkolwiek lekkie i przelotne, nie uszło uwagi pani Kopycińskiej.

— Ten nasz projekt zdaje ci się *mon cher* niepodobać? ozwała się do brata, patrząc nań z pewną, nader ciekawą i badawczą uwagą. Czy masz co przeciw naszej Rembinie?

— Bynajmniej *ma chere*!.. odrzekł pan Felix. Ale!.. dodał po chwili, i urwał.

Kto wie czyby był wytłumaczył swoje „*ale*“ które jemu samemu nie jasno siedziało w głowie, lecz w tej chwili otworzyły się drzwi, i zaanonsowany z całą salonową etykietą, wszedł pan Artur Remba.

„*Ale*“! pana Felixa zaczęło mu się w głowie rozjaśniać, bo tem „*ale*“ jakie miał naprzeciw pani Rembinie, był właśnie ten pan Artur, syn jej. Pan Artur był człowiek młody jeszcze, pełen salonowej wytworności, i bardzo przystojny.

— C'est un vrais heros de roman! mruczały między sobą starsze i doświadczone panie.

Jakoż w rzeczy samej, czarne jego i żywe oczy, strzelające dowolnie to palącą iskra, to sentymentalnym łzawo mglistym wzrokiem, cera cokolwiek śniada, wzrost piękny, pełen sily, energii i giętkości, dawały mu wszelkie prawo do romansowego bohaterstwa.

I ten przystojny bohater bywał często u pani Kopycińskiej, a chociaż uprzejmy i przyjacielski dla brata, pełen uszanowania i przyzwoitości dla siostry, nie wiedzieć dla czego wzbudził w panu Felixie jakieś uczucie nie konieczne dlań życzliwe. Była to może zazdrość nowego salonowca, nie mogąca nie uznać widocznej niższości swojej w obec dawnego salonowca, albo może zazdrość braterska i obawa, by go nie wyrugował z serca ukochanej siostry. Prawda, że to serce ukochanej siostry było arcyważne, bo przecież wiemy już, w jak miłym stanie majątkowym zostawił ten zacny i pocziwy Kopyciński wdowę swoją.

Po przedwstępnych przywitaniach oświadczył pan Artur, że przyszedł na chwilę tylko, przysłany przez matkę by się dowiedzieć, jak się ma kochana przyjaciółka, i jej szanowny brat.

Nastąpiły naturalnie grzeczne i słodkie odpowiedzi; wszystko to bardzo lubo, okragło i przyzwoicie; a czy szczerze? to pytanie jako do nieczego nie prowadzące, wypędzone ze wszystkim z salonowego życia.

Mimo że tylko na chwilę, jak się zapowiedział przyszedł, usiadł pan Artur i rozciągnął się w miękkim fotelu z całą lekkością niby niedbała, a niemniej przeto elegancko-pryzwoita.

To siadanie prawdziwie artystyczne pana Artura, wprowadzało w wściekłość i rozpacz jego licznych naśladowców, którzy nie zdołali pojąć i schwycić tego jeniálního *tempa*, jakie pan Artur zachowywał przy tej na pozór tak prostej operacyi.

Rozmowa jak zwyczajnie toczyła się w kolo wszystkiego i nieczego, i mimo zapowiedzianej krótkiej bytności przeciągała się coraz dłużej. Ktoby był uważał dobrze na mówiących, dostrzegłby z zadziwieniem, że na wszystkich trzech twarzach odbijało się jedno choć rozmaicie cieniowane uczucie pewnej niecierpliwości.

— Ach mój Felixie, odezwała się nagle pani Kopycińska do brata, jaka ja roztrzępana! zapomniałam o najważniejszym sprawunku. Przyrzekłam bukiet dla pani Rembiny..., gdybyś mógł...

— Jeżeli ja mogę wyręczyć? przerwał pan Artur.

To powiedzenie było oczywiście moralnym przymusem dla pana Felixy, który też po kilku grzecznych słowach z słodko-cierpką miną wybiegł za bukietem.

Lecz przystojny Artur siedział mu ewiakiem w głowie, i wściekał się ze złości, że nie może być przytomnym dalszej rozmowie siostry z nim.

— Miałaby ona go kochać... popełnić takie głupstwo... on przecie młodszy od niej!... ale goły... a ona ciepła wdówka... żeby go wszyscy d...

Tak właśnie medytował pięknie i moralnie nasz pan Felix, nie zważając na to, że sam siebie potępia, gdy na zakręcie ulicy zdybał Szpakowskiego, którego nie widział jeszcze od czasu przyjazdu do Lwowa. W pierwszej chwili chce udać, że go nie widzi, bo oczywiście przy tej nowej przez siebie przybranej pozycyi salonowej, takie znajomości jak Szpakowski są zupełnie niepożyteczne, a nawet poniekąd kompromitujące. Lecz ze Szpakowskim nie tak łatwa była sprawa. Zmiarkował on od razu po spuszczeniu oczów przyjaciela, że go unikać zamysła, ale nie zrażając się tem zupełnie, wrzasnął tem głośniejsze:

— A to ty kochany Felixie!?

Kochany Felix obejrzał się naokolo. Szczęściem nie postrzegł nikogo ze swych salonowych znajomości. Nic nie pomogło, musiał się dać wyściskać i wycalować suto, rzęsiście i głośno.

— Kiedy przyjechałeś?... gdzie mieszkasz?... co robisz?... no mówże... stęskniłem się za tobą... wstąpmy do cukierni, tam pomówimy sobie swobodniej... Pocziwy, kochany Felix... ale wyglądasz ślicznie... odmłodziłeś, daje słowo honoru...

Nie było ani czasu ani sposobu opierać się. Weszli do cukierni. Pan Felix Bogu w duszy dziękował, że to była właśnie cukiernia nie uczęszczana przez paniczów salonowych. Nic nie pomogło, trzeba było jeść i pić i opowiedzieć Szpakowskiemu co do joty wszystkie nowe zamysły.

(C. d. n.)

ŁASKA BOŻA.

Gdy cię bolu łza omroczy,
W niebo zwracaj twoje oczy
A z jasnego nieb przestworza,
Spłynie na Cię łaska boża.
W niebo skieruj twoje myśli,
Nim je czary zwątpień zmogą,
Bóg Cię światłem swem określi,
Byś nie poszedł błędną drogą.
A gdy nad twą strzechą starą,
Czarne łono chmur zawiśnie,
To do nieba westchnij z wiarą...
Bóg piorunu nań nie ciśnie.
Lub gdy wróg się jak gad podły
Wśród zagrody twej rozmnoży,
Ślej do nieba szczere modły,
A dosięgnie go gniew boży.

I tak z wiarą, a w pokorze
 Oko, duszę wznos do nieba,
 O! bo w której życia porze
 Łaski bożej nam nie trzeba?..

B. B.

DO M. R.

Porzuć próżne skargi, żale,
 Nie opiewaj srebrne fale,
 Ani błyski modrych ocz,
 Ale myślą lekką, lotną,
 Powróć w przeszłość niepowrotną,
 Pieśnią o nich braci ucz!.

Ten niech płacząc skargi kryśli,
 Kto o sobie tylko myśli,
 Lecz ty takie pienia rzuć,
 I w twej bracie rzewnej pieśni
 Otrząśniętą z wieków pleśni
 Wróć nam złotą przeszłość, wróć!

Rzuć miłości czcze mamidła,
 Wszak tyś orle, rozwiń skrzydła,
 Po nad ziemię skieruj lot,
 Wskrześ z grobowców dziady nasze,
 Niech usłyszysz plemię lasze
 Zapomnianych bitew grzmot!

O pieśń taka czarownica,
 I rozczuła i zachwyca,
 Duszy daje męski hart;
 Kto ją wysnuł, kto ją pieje,
 O tym wspomną kiedyś dzieje,
 Ten nazwiska piewcy wart!

Wł. T.

Z pamiętników.

I.

(Ciąg dalszy.)

Niejaki Hordyński, major czy podpułkownik, tytułujący się pułkownikiem, ulokował się w Zamościu i Tomaszowie, i przedsięwziął formować legję z przybywającą wówczas młodzieżą.

Niemiał on potemu ani pieniędzy, ani wyraźnego od rządu czy sejmu upoważnienia, ale młodzież przybywająca miała pieniądze, i po większej części konie, a gdy się już raz zbierze jaki taki hufiec, mógł rachować na przyzwolenie rządowe, i tytuł pułkownikowski. Dosyć że i sam, i

dwóch jego synów, i kilku jego znajomych i przyjaciół usiłowali projekt ten do skutku doprowadzić, łapiąc i namawiając niedoświadczonych przybyszów. Legja ta miała mieć nazwę szumną: legii złotej chorągwi wolności, a mundur mianowicie miał przypadać do smaku przybywających. Mundur oczywiście ulański, granatowy, z lampasami, wyłogami i rabatami papuziego koloru, a wypustkami ponsonowymi, co robiło dziwną trochę mieszaninę, do tego mnóstwo sznurów i akselbantów. Czapka papuzia z wielkim orłem srebrnym. Układ legii miał być nader arystokratyczny, co także wyrachowane było na domniemywane nawyczki przybywających. Pierwszy szereg miał być towarzyszy, drugi szeregowców, czyli innemi słowy paniczów i fagasów, towarzysze mieli mieć szlify, sznury i akselbanty, rżęsiście srebrem przemieszane, co ich robiło podobniemi do oficerów sztabowych, u szeregowców zaś to wszystko miało być wełniane.

Nie przystałem na namowy, nie dla tego, by mi się ten układ legii niepodobał, lub żeby mnie uderzyły słowa generała Sierawskiego. Nie zastanawiałem ja się tak bardzo, ani nad jednym, ani nad drugim, ale by prawdę wyznać, chciało mi się widzieć Warszawę i przypatrzeć temu życiu ówczesnemu, o którym miałem najcudniejsze wyobrażenie, czerpane z opisów rewolucji francuskiej, których nie mało się nazytałem.

W. i S. odmówili także Hordyńskiemu, i zaraz na-
 zajutrz po serdecznych uściskach i libacjach wyruszyliśmy we trzech do Warszawy na Lublin. Była to podróż nad wszelki wyraz wesola; byliśmy młodzi, pełni nadziei i zapału. W. więcej praktyczny zajmował się wygodkami, które w podróży nie są do pogardzenia, a S. deklamował swoje i cudze wiersze. Cośmy namarzyli, co naprojektowali! o mój Boże! gdybyż choć jedno się z tego wszystkiego zjściło... czy wieniec zwycięzki na skronie, czy listek wawrzynu do trumny! A przecież nasze gorące głowy miały się czem otrzeźwić, bo nigdzie po drodze nie zdybywaliśmy owego zapału, jakiego spodziewaliśmy się, jakimi mieliśmy w własnych piersiach. Zapał pierwszej chwili ostygł wszędzie, sparzony oddechem powątpiewania jaki wiał od stolicy. Niepokój był we wszystkich myślach i sercach, jeżeli nie w ustach. Chłopicki w ówczas wiele złego zrobił gdy nieumiał skorzystać z tego zapału, i pogardą siły moralnej którą miał za nic, zabił go najzupełniej. „Radziwił naszym wodzem,“ powtarzali wszyscy kiwając głowami, i ruszając ramionami. „A z każde to kuchcie do patyny!“ urągali starce i doświadczeni. W Lublinie jeszcze gorszych nasłuchaliśmy się rzeczy: o jakichś układach z cesarzem Mikołajem, o niechętnem przyjmowaniu ochotników w Warszawie, i inne androny. Andronamiśmy to nazywali, bo dla młodych i niedoświadczonych andronami jest to wszystko co nie idzie do miary ich dążeń i uczuć. W Lublinie zabawiliśmy parę dni, bo miałem tam listy do od-

daniam, a natomiast dostałem listy do Warszawy od mieszkającej w Lublinie żony jednego posła.

Przybyłem nareszcie do Warszawy. Przez pierwsze dni sam niewiedziałem co się ze mną dzieje, cały będąc zajęty oglądaniem miasta, tylekroć dla mnie historycznego. Zolbrzymiałem w własnym przekonaniu na myśl, że się znajduję na placu świeżych historycznych wydarzeń, na którym i ja mam występować jako działająca osoba, a więc poniekąd historyczna.

Co dalej mam z sobą robić? było zawsze w wątpliwości. Na radach mi nie brakowało, zastałem bowiem mnóstwo dawnych znajomych, i nie mało też nowych narobiłem znajomości, dni mijaly na walnych naradach, jak to bywa u nas zwykle, wiele było krzyku, mało rezultatu. Większość wszakże była za formowaniem legiów. Dla kompanii dał się cygan powiesić, pomyślałem sobie, będę więc legionistą.

A formowało się w ówczas mnóstwo legii, prócz poznańskiej, krakusów białych i granatowych, kaliskich i innych formowały się legie litewsko-ruskie, i wołyńsko-ukraińska. Zajmował się nimi Wereszczyński, a prezesem komitetu formacyjnego był Bonawentura Niemojewski. Delegowano i mnie z innemi do tego komitetu. Nie wiele ja tam mądrego doradziłem, aż nareszcie zdecydowano wysłać deputacją do naczelnego wodza i do Xcia Adama Czartoryjskiego, z prośbą o upoważnienie trzech legii, które miały zwać się legjami zjednoczonymi, i miały się odznaczać tylko numerami.

Pierwszą i drugą miały być owe dwie wyżej wspomniane, a trzeciej zawiązkiem miała być owa z Zamościa mi już znana chorągiew złotej wolności, która biegnąc za mną ślad w ślad, przybyła do Warszawy z pułkownikiem, oficerami i z kilkudziesięcią żołnierzami, a kilkunastu końmi. Najtrudniejszym orzechem do zgryzienia były owe rabaty papuzie, których się legionisci na żaden sposób wyrzec nie chcieli, chociaż w początkowym projekcie było umundrowanie jednostajne, granat z amarantem i białymi wypustkami, cała zaś różnica miała być w numerach na guzikach. Musiano wreszcie ustąpić pułkownikowi Hordyńskiemu, i ja wraz z mnóstwem moich kolegów zapisałem się do tej legii. Oddałem więc krawcowi mundur do robienia, a pałasz podagrzysty Coletowi, sławnemu w ówczas w zastosowywaniu rękojeści zgrabnych, by mi szablę odmierzył, i do ręki zastosował, i wraz z innemi wyruszyłem z deputacją.

Byliśmy najprzód u księcia Radziwiłła jako naczelnego wodza. Naprzędpokojowawszy się należycie, zostaliśmy wpuszczeni. Przyjął nas zimno, więcej z pańska niż z jeneralska, i odesłał do księcia Adama. A więc my do pałacu namiestnikowskiego. Wyszedł do nas książę Adam, i przyjął po ojcowsku.

— Moi panowie! powiedział do nas serdecznie. Umiem ja cenić wasze poświęcenie się, i dziękuję za nie w

imieniu rządu i kraju. Chcecie legji, będziecie mieli legje. To jest moja odpowiedź jako prezesa rządu narodowego. Pozwólcie wszakże, abym wam dał radę przyjacielską, jako wasz ziomek i starszy doświadczeniem brat. Legie marnują czas, pieniądze i poświęcenia pojedyncze, a nie odpowiadają celowi. Po najdłuższem formowaniu się będziecie zawsze młodymi i niedoświadczonymi żołnierzami, których nawet każdy jenerał wahać się będzie wysłać na ogień, boście poświęceniem się waszem dowiedli, że jesteście kwiatem i nadzieją prowincji z których przyszlście. Rozjeźdźcie się po starych pułkach, a za tydzień, za miesiąc, będziecie między starymi wiarusami, starymi już żołnierzami.

Madre to były słowa, ale nie koniecznie trafiły do wszystkich przekonania. Niektórzy tylko zawahali się, ja byłem pomiędzy nimi, i to tem mocniej, że mi w ogóle skład chorągwi złotej wolności nie przypadł do smaku. Prócz naszych kolegów większość w niej stanowili akademicy Warszawscy, którzy na nas krzywym patrzyli okiem, mając nas za intruzów niejako, i patrząc na nas szlachciców z prowincji przybyłych z góry uniwersyteckiej dumy. Większość u nas przemogła, i ja w parę dni wystąpiłem już w zielonych rabatach i w szlifach, na których srebro tak zakrywało wełnę, iż podobne było do szlif majorowskich. To też ledwie się pojawił na ulicy, żołnierze prezentowali broń, jak przed sztabowym oficerem; robiło to na mnie wyznam szczerze, szczególne wrażenie, byłem już żołnierzem a od żołnierza do bohatera jakże łatwy dla zapалу skok.

Dano nam stary jakiś klasztor, podobno brygidę, za koszary, i tam zaczęliśmy się niby sposobić, ucząc się mustry pieszej tymczasem, bo koni jeszcze nie było. Instruktorem był stary jakiś wiarus, napoleończyk, który nas łajał i przeklinał po francusku, a kochał i pił z nami po polsku.

(D. n.)

Wspomnienia z podróży i wycieczek.

Przejazd po ziemi Dońskiej.

I.

(Ciąg dalszy.)

Przecież natura Kaukaskiego żołnierza nie opuściła nas w tem wyjątkowem położeniu. Jak postanowiliśmy o budzić się równo ze dniem, tak też duch każdego z nas, czuwający nad twardo śpiącym ciałem nakształt najpewniejszego excytarza, obu nas pobudzić nie omieszkiał. W jednej prawie chwili byliśmy na nogach. Spojrzałem na zegarek, ledwie 6ta minęła. Postanowiliśmy korzystać z usług i zasobu gospodarza, poprosiliśmy o samowar i śniadanie, a nim wszystko było gotowe, układaliśmy nasze rzeczy do drogi, powtarzając gospodyni, żonie pisarza, aby pospieszała, gdyż chcemy na wyjeździe dobrze się posilić.

Ta zamiast jakiegokolwiek odpowiedzi, spojrzała tylko na nas jakimś dwuznacznym i zagadkowym wzrokiem; lecz wkrótce wszystko przyniosła, na co się zdobyć mogła, tłómacząc się i przeprasząc za parę kawałków wygotowanego mięsa, nazywając je bifsztikiem, za które się wstydzi, nie mogąc świeżego dostać na prędcę. Ale mniejsza było nam o jakiś tam bifszyk, gdyśmy mieli przed sobą gotujący się samowar.

Przy herbaciu humor się zawsze poprawia. Jakiś filozof chiński wszakże radzi: „naląć na młode listki rośliny *The* miernie ogrzanej wody, aż się zapach rozejdzie po pokoju i wapor wijący się znowu osiadać zacznie; pić to filiżanką, a napój ten wdzięczną czułość sprawując, uśmierza niespokojność kłopotliwych wzruszeń, które są życia ludzkiego udziałem.” Mój współtowarzysz, nie będąc zwolennikiem żadnej szkoły filozoficznej, tego jednego przepisu ściśle dopełniał. Ja również go naśladowałem.

Lecz w tej chwili któżby z nas się domyślił, że ten wypogodzony humor niedługo się z nami pożegna, pojedzie sobie zapewne tam, dokąd my z takim upragnieniem dążyliśmy, a nas zostawi w tym pokoiku, wczoraj tak dla nas powabnym, na pastwę nudy i tęsknoty. Otoż tak się stało. Wychodzi pisarz pocztowy i najspokojniej nam oświadcza, że ponieważ zabrakło koni, to mu bardzo będzie przyjemnie mieć nas u siebie do jutra; jutro zaś z pewnością i najniezawodniej pojedzie.

— Co! jakto? to być nie może, koni natychmiast! ani godziny, ani pół czekać nie myślím, dość żeśmy przemocowali!

— Ale panowie, gniew nic nie pomoże. Wy nie jedni musicie czekać, bo koni nie stworzę, kiedy niema.

Rzeczywiście nie byliśmy tam jedni, dla których zabrakło koni. Przeszedłem się po obszernym i czystym kurytarzu. W czterech pokojach gościnnych, jakie tam na każdej stacyi są gotowe, widzę to pojedyncze osoby podróżne, to całe familie; ale spokojne, tak rozlokowane, jak gdyby tam stale mieszkaly. Pozostawiana pościel, naczynia, odzież, nawet zabawki dziecinne; mężczyźni w dogodnych pantoflach i szlafrokach przechadzają się po ganku, zapomniawszy, że są w podróży.

— Dokąd Bóg prowadzi, zapytałem z nich jednego, krzeszącego sobie ogień do fajki.

— Do Stawropola; a panowie?

— My przeciwnie, od Stawropola, ale zabrakło koni i wypadnie z pół dnia czekać tutaj.

— O panie, ja tu pół tygodnia siedzę, jak na pokucie, a są niektorzy, co już blisko tydzień jak przybyli i to za lepszej drogi.

Sądziłem, że to jakieś żarty, albo że opowiadający cierpi pomieszanie, bo za tydzień mieliśmy być w domu. Uśmiechnąłem się na to, gdy drugi znów z podróżnych to samo mi potwierdził.

— Ależ w tem zdarzeniu można sobie łatwo poradzić; gdziekolwiek dostaniem koni we wsi i odjedziem do następnej stacyi.

— Bardzo dobrze, ale zkadże tej wsi dostać, kiedy tu o niej na okóło mil parę ani slychać.

Obszedłem po galeryi na okóło domu, spojrzałem na wszystkie cztery strony nieba. Wszędzie jak oko sięgnie, step równy, bezludny, przepasany tylko szerokim, szklńczym się od wół-przemarzłego błota gościńcem, czarny, upstrzony gdzie niedzie pátami znikającego śniegu. Wtedy dopiero stanęła przedemną w wyobraźni straszna jednostajna i nudna jak ten step przyszłość, wprawdzie kilkodziowa tylko, ale wymuszona, w niewoli u pisarza pocztowego. Odpowiedziałem nasze położenie współtowarzyszowi. On wybiegł, zaczął hałasować, żądając koni, grożąc pisarzowi wszystkimi katuszami tego i tamtego świata; ale cała ta oficerska taktyka na nic się nie przydała. Pisarz widać był otrzaskany z podobnemi piorunowaniami. Najobojętniej słuchał, a gospodyni zbliżając się pytała, co każemy sobie gotować na obiad. Była to tylko formalność niepotrzebna z jej strony, bo cokolwiek jemu lub jej dysponowaliśmy, jakeśmy się później o tem przekonali, nie dochodziło nas nigdy; zwykle dla całego ogółu gości jedzenie codziennie było to samo, za które jednak później musieliśmy tak samo zapłacić, jakby rzeczywiście było to, czegośmy nieraz z nudów i fantazyi żądali.

Pozostawało nam zrobić przegląd towarzystwa, śród jakiego los nas mimowoli postawił. To trwało nie długo. W przyległym obok nas numerze stał jegomość, z którym tuż w ganku zawiązałem rozmowę, komissyoner wojskowy, dozorca jakiegoś magazynu prowianckiego na Kaukazie. Figura nadęta, za każdym słowem starał się wydymać dzobate policzki, z góry patrząc, jeśli do kogo co mówił, nadawał sobie ton jakiegoś ważnego urzędnika. Przytem sam siebie nazywał bardzo porządnym człowiekiem, a to z powodu, iż porządnie jadał, pił smaczne wino, przesypiał się oprócz snu całonocnego, w godzinach rannych po śniadaniu i wieczornych po obiedzie. Wiózł piękny zapas smacznej wyziny z Rostowa, jako też kawioru. Wszystko to było poustawiane na podłodze w jego numerze. Zbliżył się on rychło do nas, dowiedziawszy się, że jedziemy z Kaukazu, z fortecy Groźnej, dobrze mu znajomej. Był on postrachem dla wszelkich niższych od niego stopni, imponującą postawą i zuchwałym sposobem przemawiania. Lecz za to dla niego wszystko było postrachem, czego sobie nie umiał wytłómaczyć. Wierzył w czary i gusła, w jakowe tylko wierzone na całej ziemi dońskiej, gdzie kiedyś długo pełnił urządowanie. Pobyć swój na tej stacyi przypisywał czarom, których miał użyć pisarz dla sprowadzenia ulewy w pierwszych dniach lutego.

Na przeciwległej stronie kurytarza, naprzeciw pokoju komissjonera, tulila się jakby piorunem rażona jakaś kom-

panijka młodzieży, ubranej pół cywilnie, a pół już wojskowo. Domyśliłem się, że muszą jechać na Kaukaz dla zaciągnięcia się do wojska. Lecz czemuż tak spokojni jakby ich nie było i każdego przechodząc na palcach mijają. Postanowiłem poznać ich bliżej. Jechali z głębi cesarstwa, z miast większych, młodzież pełna humoru i życia. Pochwycili mnie między siebie jakby nigdy ludzi nie widzieli.

— Ach panie, ratuj nas! pod złą wróżbą wybraliśmy się na Kaukaz. Dotąd szło niezgorzej. Lecz tu przybywszy, naprzód dla braku koni musieliśmy przerwać naszą jazdę; następnie lunał deszcz i przerwę tę przedłużył. A to wszystko niczem. Szatan przyniósł z tą ulewą jakąś ważną figurę, czy jak tam. Ledwie się wtoczył obmokły, jak zaryczy: A wy *niżnie czyni, niedorośle*, wszystkich roześle aż do Ameryki w żołnierzy. Jak ośmieliłeś się zajmować dla mnie przeznaczony apartament?.. Wystaw sobie pan z tego pokoju na przeciw, gdzieśmy jakkolwiek mogli pomieścić się, stłoczył nas do tego ciasnego kąta. A nadto ponótował nasze nazwiska i dał słowo, że nikomu nie daruje jak tylko przyjedzie do naszego sztabu.

— Śmiejcie się panowie! Wszak to magazynier! czyż nie wiecie?.

— Jakto? maczuy szczur i nic więcej!

— Ale kiedy pisarz powiada, że to ważna osoba na Kaukazie i niebezpieczna!

— Pisarz kłamie, bo ma w tem pewnie interes, ażebyście nie hałasowali o konie.

— O zbawco nasz, zawołało kilku otaczając mnie bliżej; ale czy to rzeczywiście on nie może nas zgubić. Ha! to pan nam z nieba zesłany! bo już nam tchu brakowało ze strachu. Ja swych rzeczy resztę bałem się pójść pozbierać i tam gdzieś leżą u niego pod sofą.

— Hej bracie, zawołał inny, on sam nazwie nas osłami, jeśli teraz mu nie podziękuję. Kto ma jakie narzędzia, do rąk! wyprawmyż mu kapelę, aż mu bębenki w uszach popękają.

Widząc, że tu się zanoszi na figle, wyniosłem się co rychło od tej młodzieży, chcąc zdala uważać, a razem zawiadomić kolegę o mającym nastąpić koncercie. (C. d. n.)

Rozmaitość.

Z nad Zbrucza. Wróciwszy z kilkunastu milowej podróży, po obwodzie Złoczowskim i Tarnopolskim, spieszę donieść wam o stanie zbiorów zboża, jako tuż i o zdrowiu ludzi, co nie mały wpływ na żniwo tegoroczne wywiera.

Żniwo w naszej okolicy w większej połowie ukończono; prócz owsa i hreczki, mało już zboża na pniu stoi. Pszenica i żyto średni plon wydały, a namłot wcale nie zadowalniający. O ile z odbytych prób sądzić można, z kopy nad pół korca nie będzie ziarna. Jęczmienia jest mało, w niektórych wsiach nawet na nasienie nie będzie. Deszcze i grad wiele szkody porobiły, nie tyle jednak u nas, le w obwodach Tarnopolskim i Złoczowskim.

W Złoczowskim deszcze nawalne przybiły zboża do ziemi. W okolicy Złoczowa porosło na pniu mnóstwo pszenicy i żyta, a żniwo tak leniwo idzie, że dotychczas nie tylko żyta, ale nawet jęczmienia i pszenicy nie sprzątnięto. Jęczmień leży na łanach zeschnięty, deszczem przybity do ziemi.

Kartofle psują się wszędzie z małemi bardzo wyjątkami. Na gnie tworząc zapach nieznośny, a młode kartofle mają smak bardzo nieprzyjemny.

Ceny zboża są wyższe jak były przed miesiącem. Handlu dla panującej teraz słabości niema żadnego.

W przeszłym tygodniu płacono na targach w okolicy Radziechowa, w obwodzie Złoczowskim: za korzec pszenicy 30 złr. w. w. za korzec żyta 27 złr. 30 kr. w. w. za korzec jęczmienia 20 złr. w. w. za korzec owsa 7 złr. 45 kr. w. w. Kupowali tylko kupcy w miejscu mieszkający, bo cholera tak żydów przestraszyła, że żaden z nich nawet o parę mil z domu niewyjeżdża. W okolicę Husiatyna zgłaszają się listownie kupcy z Tarnopola, i dają za korzec pszenicy na miejscu 27 złr. 30 kr. w. w.

Dotychczas niema żadnej nadziei, ażeby rząd rosyjski pozwolił prowadzić zboża z za Zbrucza, z okolic Kamieńca podolskiego. Zapasy starego zboża zupełnie wyczerpane. Hreczka wcale średni plon obiecuje. Kukurudza jedynie może być dobra, jeśli ją wczesne mrozy nie zachwycą w czasie dościgania. Dnia 14. t. m. rozpoczęto w naszej okolicy siew żyta.

Cholera wzmaga się teraz w obwodach Złoczowskim, Tarnopolskim i Czortkowskim. Od Złoczowa ku Brodom zmniejszała się cokolwiek, ale między Złoczowem, Brodami i Tarnopolem, około Kozłowa, w całym Tarnopolskim i Czortkowskim obwodzie szerzy się co raz bardziej. Przyjechawszy ze trzydziści mil miejscami cholera dotkniętymi, przekonałem się, że prawie wszędzie zupełny brak ratunku dla słabych. Na rozporządzenie władz wyższych odpowiedziały Mandataryaty zadowolniając, ale niestety, pisemnie tylko. Ani szpitalów, ani ludzi trudniących się ratowaniem chorych nie widać nigdzie po wsiach. Dlatego w niektórych wsiach wymarła część trzecia mieszkańców.

Winienem tu jednak oddać sprawiedliwość p. Gostowskiemu we wsi Perepelnikach, który idąc drogą cnoty staropolskiej, z poświęceniem wielkiem i narażeniem swego zdrowia, ratuje zapadających na cholera, a jak mi włościanie sami mówili, nawet w nocy o każdej godzinie niesie pomoc nieszczęśliwym. Lekarze po większej części sami chorują, a mający wydzielone sobie wsie, zaledwie raz w tydzień objechać je mogą, zostawując lekarstwo, a spisując słabych i umarłych.

Włościanie niosą sobie wzajemną pomoc przy okazji zaślubień, w niezmiernem piciu wódki, jako jedynym środkiem pocieszenia się wzajemnie. Do chorego bogatego zbierają się gromadnie, nie dla ratowania go, ale dla pomóżenia pozostałym krewnym przy wychyleniu pary garncy gorzałki, bo jak mówią, niewiedzieć czyje jutro, dobrze więc choć cokolwiek jeszcze zachwycić tego nektaru. Pijąc sami, dają i choremu kolejno, będąc mocno przekonani, iż na zimno w cieple jedynie wódka pomódz może. Tem najwięcej chorych zabijają.

Żydzi po miasteczkach niosą sobie wzajemnie wielką pomoc i z tej to przyczyny ilość słabych między niemi zmniejsza się. Przesady w tym czasie na odpędzenie choroby, między chłopami i żydami przechodzą w śmieszność. Chłopi czerpią wodę w miejscach, gdzie się dwa potoki schodzą, myjąc tą wodą chorego, i co prędzej bez oglądania się, w to samo miejsce wylewają tę wodę z kądem brali, ażeby jak utrzymują, dwa potoki odnosiły co prędzej od nich chorobę. Żydzi w miasteczku C... chcąc się pozbyć cholery, udali się do szkoły, a ztamtąd po odprawionych modłach przed okopisko, stanęli koło wchodowej bramy i zapytali: czyli jest miejsce tam dla

nich? Chłop siedzący na okopisku celem dania odmownej odpowiedzi, wychyliwszy już daną mu flaszkę gorzałki, jako przedpłatę za taką fatygę, przejął ich ogromnym przestachem, odpowiedziawszy donośnym głosem, z najlepszą fantazyą: O czemu by nie było miejsca. może was się tu jeszcze dwa razy tyle pomieścić!...

* Na dniu 19. Sierpnia zasłało 52, a umarło 32. osób. Nadniu 20. zasłało 46 a umarło 25. Na dniu 18. zachorowało 61 a umarło 29. Ogółem od powstania zarazy zapadło 5342, a umarło 2636 osób.

Przyjechali od dnia 20. do 22. Sierpnia do Lwowa.

PO. Kulik Juliusz Filip z Krakowa, Baygar Stanisław ze Stanisławowa. Szawłowski Ludwik z Przewłok. Ujejski Bronisław z Lubczy.

PP. Stadnicki Bronisław hr. z Olszanicy. Gostyński Adam z Magierowa, Skarbek Alfons hr. z Tarnopola. Jaroszewski Antoni z Żółkwi. Onyszkiewicz Rudolf z Łysiatycz. Szymanowski Franc. ze Spassowa. Wysocki Florian z Hteborowa. Tretter Hilary z Dzwiniacza górnego.

Wyjechali od dnia 20. do 22. Sierpnia ze Lwowa.

P. P. Komarnicki Bolesław do Podhorzec Komorowski Ignacy do Żółkwi Dzieduszycki Włodzimierz hr. do Poturzyć.

We wszystkich księgarniach nabyć można:

OBERON

Poemat romantyczny w dwunastu pieśniach.

Przekład z Wielanda

przez

Wiktora z Baworowa.

Lwów, 1853.

(142)

Cena 2 złr.

(3-3)

W księgarni H. W. Kallenbacha we Lwowie dostać można:

SKARBCZYK

POEZJI POLSKIEJ.

Tom I—VI w 12ce Petersburg 1855. zawierają:

Poezye Brodzińskiego, Siemińskiego, Magnuszewskiego, Witwickiego, Wasilewskiego i Bielowskiego.

Przedpłata za 12 tomów 12 złr.

(3-3) Einladung zur Subscription auf das (144)

Illustrierte Familienbuch

zur Unterhaltung und Belehrung häuslicher Kreise herausgegeben

vom Oesterreichischen Lloyd in Triest.

Vorräthig bei W. Stockmann in Lemberg.

Jeden Monat erscheint 1 Heft von 4 Bogen Text und 3 Stahlstichen. Preis für jedes Heft 30 kr. C. M.

Inhalts-Rubriken: Novellen und Erzählungen. Geschichte.

Wydawca i odpowiedzialny za redakcją: H. W. Kallenbach.

PP. Jakubowski Tytus do Stryja. Potocki Adam hr. do Stanisławowa. Swiechowski Ignacy do Suszna.

Kurs telegrafowany z Wiednia 22. b. m. o g. 2. popołud

Augsburg za 100 złr.	115 1/2	Pożyczka 5%	76 1/2
Hamburg za 100 tal. banco	83 1/4	Akcyje banku	976
Londyn za 1 funt szterl.	11 11	Kolej północna	2042 1/2
Mediolan za 300 lirów	114 1/2	Obl. ind.	66
Paryż za 300 franków	133 3/4	Nowa pożyczka z loteryi	81 1/2
Agio duk. ces.	20 1/4	Pożyczka narodowa	80

Wczorajsz Kurs Lwowski Gotówką towarem.

Dukat holenderski	złr. 5 kr. 18	złr. 5 kr. 21
Dukat cesarski	5 " 19	5 " 22
Półimperyal zł. rosyjski	9 " 12	9 " 14
Rubel srebrny rosyjski	1 " 46	1 " 46
Talar pruski	1 " 42	1 " 44
Polski kurant i pięciolotówka	1 " 18	1 " 19
Galicyjskie listy zastawne za 100 zł. bez kuponu	92 " 20	92 " 50
Galicyjskie obligacye indemnizacyjne bez kuponu	71 " —	71 " 30
5 proc. pożyczka narodowa	80 " —	81 " —

Lwów, 22. b. m. Na dzisiejszym targu płacono korzec pszenicy ozimej po 39 złr. 20 kr. do 42 złr. 30 kr. — Żyta po 24 złr. — kr. do 26 złr. — kr. Jeczmenia po — złr. — kr. do — złr. — kr. Owsa po 11 złr. 15 kr. do 11 złr. 30 kr. Grochu po — złr. — kr. do — złr. — kr. Hreczki po — złr. — kr. do — złr. — kr. — kr. Ziemiaków po 7 złr. 30 kr. do 8 złr. — kr. Sag drzewa bukowego 35 złr. — kr. do 41 złr 15 kr. Sosnowego po — złr. — kr. do 34 złr. w.w. Cetnar siana 3 złr. 3 kr. do 3 złr. 45 kr. Centnar słomy 3 zł. — kr. do 3 złr. 20 kr. w. w. Garniec 30 topniowej okowity bez opłaty 3 Złr. 50 kr. do 4 złr. — kr. w. w.

Kunst, Wissenschaft und Leben. Schilderungen aus dem Gebiete der Natur. Reisen. Haushalt, Handel und Gewerbe. Buntas.

Die Stahlstiche stellen dar: Genrebilder und historische Blätter nach Originalien fremder und einheimischer Künstler, Landschaften und Städteansichten.

Vom 5ten oder laufenden Bande des illustrierten Familienbuches erschienen bereits 9 Hefte.

Nowo otworzony zakład wychowania i kształcenia pańienek

Karoliny Grzybowskiej

uwiadamia szanownych rodziców, iż z dniem 1. Września rozpoczynają się wszystkie nauki, jakie tylko dobre i staranne wychowanie wymagać może.

Blisze szczegóły u założycielki pod Nrm. 897 1/2 przy ulicy św. Jana we Lwowie. (148. 2—2.)

Zupełny

APPARAT FOTOGRAFICZNY

z wszelkimi przyrządzeniami jest do sprzedania.

Bliszą wiadomość powziąć można w handlu żelazem Juliusza Gablenza. (156. 1—3)

Ze spadku s. p. Józefa Mayera są pod liczbą 135 3/4 na Majerowskiej ulicy z wolnej ręki do nabycia:

DWIE KROWY SZWAJCARSKIE, powóz i papuga.

Bliszą wiadomość w tej mierze udzieli się w księgarni pana Kallenbacha przy dykasteryalnej ulicy. (149 2—3)

Z drukarni E. Winiarza.